

# Wigilia pod czerwoną gwiazdą

27 grudnia 2015

Kanonada artyleryjska oddalała się z każdą godziną. Tu, w folwarku oddalonym od Wilna o kilka kilometrów, zapanował spokój. Niemieckie samoloty przestały krążyć nad naszymi głowami i tak od czasu do czasu, pewnie dla fantazji, siekły z karabinów maszynowych. Sąsiednią wieś kompletnie zgruchotano bombami zapalającymi.

Pociski artyleryjskie przestały gwizdać nad naszymi głowami, a inne już nie waliły w okoliczne zagony. Ale nasze menu to dalej truskawki i truskawki (obrzydły mi do dzisiaj). Po wielu dniach życia na linii frontu zapanował spokój.

Jeszcze w oczach mieliśmy potężne wybuchy czarnego dymu. To oddziały niemieckie, jeszcze walczące na obrzeżach Wilna, systematycznie paliły dom po domu, ulicę po ulicy. Chłusniecie z kanistra benzyny do wnętrza kamienicy, granat i czarne kłęby dymu widoczne były z oddali.

Do miasta po ciężkich walkach wkroczyły oddziały Armii Czerwonej. Wkroczyły również oddziały Armii Krajowej, walnie przyczyniające się do zdobycia Wilna. Chłopcy z biało-czerwonymi opaskami chcieli wkroczyć na główną ulicę Wilna – ulicę Mickiewicza – i odbyć zwycięską defiladę. Sowietom nie dali i kilka tysięcy młodych ludzi, żołnierzy AK, zakochanych w rodzinnym mieście, „defilowało” w eskorcie krasnoarmiejców do Zamku w Miednikach Królewskich, a później poprzez Kaługę do wyrębu lasów na wschód od Moskwy.

Z chrzęstem tłuczonego szkła szliśmy ulicami rodzinnego miasta. Wszędzie wypalone czołgi z czarnymi krzyżami i czerwonymi gwiazdami, rozbite armaty, wałająca się broń i oporządzenie wojskowe. Udało mi się mieć zdobycz wojenną w postaci niemieckiego plecaka z cielecą skórą. Na ulicach walały się rozbite pojemniki, którymi Niemcy dostarczali

zaopatrzenie swoim oddziałom w mieście. Transportowano je samolotami przelatującymi nisko nad naszymi głowami w folwarku Nowe Sady. W ten sam sposób zrzucono do miasta 600 spadochroniarzy.

Front oddalał się na zachód. Sowieci w Wilnie mówili o wyzwoleniu, Polacy – o zmianie okupanta z niemieckiego na rosyjskiego. Szło się ulicami z chrzęstem tłuczonego szkła pod butami. Unosił się swąd spalenizny, trupiego odoru i jeszcze innych zapachów – jedyny, niepowtarzalny smród wojny.

Całe ulice straszyły wypalonymi kamienicami. Już walki toczyły się na obrzeżach Wilna, a Niemcy szli od budynku do budynku: chłuśnięcie z kanistra benzyny, granat, wybuch i z budowli pozostawały tylko wypalone mury. Mieliśmy szczęście – nasza kamienica ocalała, tylko niewielki pocisk artyleryjski, a może granat, wpadł do sąsiedniego pokoju i posiekał wszystko. Ten dom jakimś cudem ocalał, a sąsiadujące z nim budynki Niemcy spalili. Budynek stoi do dziś na ówczesnej wielkiej Pohulance, dzisiejszej Basanoviciusa.

Zdobywanie Wilna przez Sowietów odbywało się w pierwszej połowie lipca 1944 roku. W dwa dni po zakończeniu walk zachorował mój czteroletni brat. Nie było rady i biorąc na swoje dziesięcioletnie plecy strach, ruszyłem sam do miasta oddalonego o jakieś osiem kilometrów. Lasy i lasy, szerokie pola i ten trupi odór cały czas towarzyszył „samarytaninowi”. Powstrzymywany przez czujki sowieckie, dotarłem do miasta i z tym samym lękiem, ale i jakimiś lekarstwami, wróciłem do folwarku Nowe Sady, aby po paru dniach na dobre powrócić do Wilna.

Głodno było. Coś tam pichciliśmy na żelaznym piecyku zwanym „kozą”, ale i o opał było trudno. Nie było rady i zbierało się każde drewno, by móc coś ugotować. Niewiele minęło tygodni, a jakaś komórka organizacyjna Polskiego Podziemia zorganizowała kuchnię dla polskiej ludności. Nie były to luksusy i tylko z trudem dało się przełknąć jakąś bebeluchę

zwaną zupą. Ale głód ma swoje twarde prawa.

Wojska frontowe odeszły na zachód, po mieście krążyć zaczęły formacje specjalne. Granatowe czapki z czerwonym otokiem i inne, zielone z otokiem błękitnym, wzbudzały trwogę. Raz po raz słyszało się o znajomych i innych wilnianach, jak wyszli z domu i ślad po nich zaginął. Kładło się spać z trwogą, czy przed świtem nie załomoczą do drzwi. Później NKWD, NKGB, Smiersz. Przesłuchania na ulicy Ofiarnej i wyroki. „Szczęśliwcy” zapełniali więzienie na Łukiszkach, Łubiankę, Syberię, Kazachstan, łagry od Workuty po Kołymę. „Pechowców” strzałem w tył głowy pozbawiano życia.

Jesienne chłody szybko mroziły się, a dokuczliwe zimno nie dawało spać. Pod stertami kołder, koców i czego jeszcze tam nie było, jakoś przesypialiśmy od wieczora do ranka, ale wygramolenie się spod tej sterty na zewnątrz, do mroźnego pokoju, powodowało tylko dreszcze.

Nasz tajny komplet nauczania rozpadł się. Niektórzy koledzy przenieśli się do innych dzielnic miasta, innym rodzice zakazali uczęszczać na naukę w warunkach sowieckiego terroru. Takie lekcje mogły skończyć się łagrem dla nauczycielki, a i uczniów mogli pognąć w stepy Kazachstanu. Terror sowiecki był o wiele groźniejszy i bardziej bezwzględny niż niemiecka okupacja.

Inwigilacja agenturalna była ogromna. Czuliśmy to instynktownie, ale o jej rozmiarze dowiedziałem się dopiero kilkadziesiąt lat później. W okresie okupacji niemieckiej na Wileńszczyźnie były cztery tysiące bolszewickich agentów. Prawdopodobnie każda brygada AK miała swego „opiekuna”. Penetracja polskich oddziałów partyzanckich była głęboka. W archiwach KGB i GRU były dokładne dane, jakich nie można było odnaleźć w Archiwach Polskiego Państwa Podziemnego. Nic więc dziwnego, że większość żołnierzy AK, których nie pognano do Miednik Królewskich, dosyć szybko było rozszyfrowanych i znalazło się w sowieckich łagrach.

W mieście obowiązywała godzina milicyjna. Nawet bez tego utrudnienia każdy po zmroku siedział w domu. Po mieście grasowali maruderzy z Czerwonej Armii, rozplenił się bandytyzm, z którym NKWD specjalnie nie walczyło. Każde wyjście w mroki ulic mogły skończyć się dramatem.

W mieście nie było elektryczności. Kiedy opuszczałem Wilno w początkach marca 1945 roku, elektrownia jeszcze nie działała. Wieczory spędzaliśmy przy karbidówkach. Dawały one sporo światła, ale i cuchnęły okropnie. Karbidówka składała się ze szczelnego pojemnika z karbidem zalany wodą, wydzielającym palny gaz i palnika dającego światło. Nakrywało się palnik kapturkiem i koniec oświetlenia. Na szczęście wodociągi i kanalizacja działały prawie od pierwszego dnia wejścia Sowieców. Tak mijały tygodnie i miesiące, aż przyszło Boże Narodzenie.

Myślami byliśmy przy ostatniej Wigilii w 1938 roku. Przy stole siedział dziadek, tata, mama i ja. Ostatnie radosne Święta, pełne skromnych upominków – takie wówczas panowały obyczaje. Kolejna Wigilia, w 1939 roku, smutna, w oczekiwaniu, z pustym talerzem dla taty. Doszła wiadomość z obozu w Kozielsku, że jest cały i zdrowy. Mama zdołała wysłać paczkę z nadzieją, że dojdzie do Bożego Narodzenia. Doszła... odwrotną pocztą, gdzieś w okolicy Wielkanocy, z adnotacją: „Pod adresem Kozielska nie ma Leonarda Korowajczyka”. W 1943 roku doszła wiadomość o Katyniu, lecz pozostało złudzenie, trwające latami, że może to nieprawda...

Wigilia 1944 roku. Przy stole zabrakło dziadka, zmarł śmiercią naturalną w 1941 roku, zamartwiając się losami syna, Mieczysława Kuczyńskiego, zięcia Leonarda oraz szwagra, Tadeusza Tyszki – wszyscy byli jeńcami Kozielska. Przy stole pozostały tylko wspomnienia i mały brat, pięcioletni Wojtek, urodzony w styczniu 1940 roku, trochę beztrąsko rozrabiał.

Wigilia 1944 roku. Nie było choinki z Gwiazdą Betlejemską, były czerwone gwiazdy nad Wilnem. Do stołu, przy karbidówce,

zasiadli mama, Wojtek, mój brat, i pan Roman. Stół był bardzo skromny. Jakieś śledzie z czarnym, kartkowym chlebem, żur, gniot z ciasta upieczonego, a może usmażonego na „kozie”. Pan Roman przyniósł kilka mandarynek. Zdobył je jakimś własnym sposobem. Na widok egzotycznych owoców Wojtek zawołał: „O, jaka śmieszna marchewka!”.

W parę dni później NKWD zapukało do drzwi pana Romana i wylądował on w sowieckim łagrze...

Mimo mrozów gorąco było w Wilnie. Niebezpieczeństwo zwiedzania krainy białych niedźwiedzi stawało się coraz realniejsze. Korzystając z „chodów” udało się nam wkręcić do dodatkowego transportu ewakuacyjnego w pierwszych dniach marca 1945 roku i wyjechać do Polski Ludowej, która – choć komunistyczna – była lepsza niż Związek Sowiecki. W trzaskający mróz załadowaliśmy się do bydłowych wagonów, by po trzech tygodniach koczowania wagonowego wylądować w Lublinie, a dalej, poprzez Warszawę, dotrzeć do Łodzi.

Autorstwo: Władysław Trzaska-Korowajczyk

Źródło: [NaszaPolska.pl](http://NaszaPolska.pl)